TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 46. POZNAŃ dnia 14 Listopada 1862.

„Tygodnik Poznański“ wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1¼ tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 franków; w Redakcyi 1¼ tal., albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego redaktora.

Dzieje Wincentego Niemojowskiego po rewolucyi 1830 roku,

spisane przez jego cioteczną siostrę,

Barbarę z Walknowskich Kamińską.

(Ciąg dalszy).

Powracam do moich więźniów. Miałam zapewne najlepsze chęci dogodzenia potrzebom obydwóch, ale czułam, że własne fundusze moje nie są na to dostateczne. Szczęśliwe natchnienie przywiodło mi na pamięć jenerałową Lubowidzką, starą wdowę bogatą, oddawna w klasztorze Sakramentek zamieszkałą, któréj dwie córki były żonami dwóch rodzonych Wincentego braci (Gabryela i Bonawentury). Udałam się do niéj natychmiast: opowiedziawszy smutny stan Niemojowskiego, upraszałam, ażeby mnie raczyła zasilić potrzebnym groszem na sprawienie jemu i Olizarowi cieplejszego ubrania i pościeli. Nie chcąc zaś, aby to żądanie miało minę jałmużny, dodałem, że jéj dam kwit na pieniądze, które mi udzielić zechce w przekonaniu, że Gabryel lub Bonawentura zwróci jéj z wdzięcznością wydatek na tych więźniów zrobiony. Odpowiedziała mi uprzejmie, że jéj miło bardzo widzieć mnie zajętą tak szlachetnym czynem, że z krewnymi nieszczęśliwymi nie trzeba w żadne porachunki wchodzić i przyniosła mi na naglejsze potrzeby kilkadziesiąt rubli, pościel zaś dla Olizara zaraz kazała do mojéj dorożki włożyć. — Ucieszona tym funduszem, w lot wróciłam do siebie i za pomocą dobrego przyjaciela, Prota Lelewela, kupiłam i opatrzyłam obydwóch w stósowne ubranie. Dodałam do tego rozmaite do jedzenia przysmaki i przesłałam pakiet pani Sobańskiéj wraz z następującym listem:

„Niech mi będzie wolno przypomnieć Pani łaskawie uczynione przyrzeczenie, że za dni kilka wyrobisz mi pozwolenie odwiedzenia nieszczęśliwych więźniów. Dziś właśnie zgromadziwszy dla obydwóch rozmaite rzeczy do ubrania i pokarmu, pragnęłabym co prędzéj takowe im oddać, a zarazem przekonać się, czy zaszło jakie osłodzenie w ich smutnem położeniu. Wprawdzie litościwy Gubernator oznajmił mi dnia wczorajszego, że przeniesieni zostaną do opalanéj stancyi, ale racz Pani wystawić mu, że każda godzina w zimnie przepędzona staje się dla nich wiekiem. Serce Twe Pani, zapewne wyrozumieć potrafi, iż mnie saméj milejby było oddać im to i pogadanką rozerwać ich umysły skołatane. Ale nalegać na to nie chcę, byle tylko tu załączone rzeczy mogły ich dojść jaknaj-piesznićj. Nie przepraszam Panią za moje natręctwo, gdyż codziennie się przekonywam, że dobroczynność liczysz pomiędzy najmilsze swe zatrudnienia.“

Wraz z spisem rzeczy przesyłanych dołączyłam do Wincentego bilecik:

„Poséłam ci, kochany Bracie, co tylko krótkość czasu i ilość tymczasowych pieniędzy sprawić dla was dozwoliła. Proszę, abyście natychmiast wszystkiego użyli, co dla zdrowia, dla wygody waszéj i swobodniejszéj myśli wam przeséłam. Widzieć was będę niedługo.“

Dnia 18go Listopada kazała mi powiedzieć p. Sobańska, że wszystko odesłane zostało więźniom. Że ja sama wpuszczoną jeszcze do nich być nie mogę, gdyż moja wizyta zwracałaby nadto uwagę teraźniejszego komendanta Pragi; a ten, chociaż podwładny jenerała Witta, mógłby przecież podejrzenie na dobre chęci gubernatora rzucić, czemby mnie i więźniom złego narobił. Uległam przyczynom, tak wiernie tłómaczącym godność rządu moskiewskiego, tem bardziéj, że miałam obietnicę niezawodną odwiedzenia więźniów, jak tylko do Karmelitów przeniesionymi zostaną.

Dnia 20go Listopada przysłał mi gubernator swego adjutanta z oznajmieniem, że mając wzgląd na moją o brata niespokojność, miło mu jest donieść mi, że pan Niemojowski został przeniesiony do Karmelitów dnia wczorajszego, że tam zastał mieszkanie ciepłe i że jeżeli sobie życzę odwiedzić go, przyśle mi swój pojazd i oficera służbowego. — Z wielkiem ukontentowaniem podziękowałam za tak miłą wiadomość, a zaopatrzywszy się w nowe książki, wino i inne fraszki, jako to: papiér, ołówki, sztychy do rysowania dla Olizara, czekałam owego pojazdu niecierpliwie.

Czekałam go jednak długo, bo dopiero 24go Listopada napisała do mnie pani Sobańska, że otrzymawszy od p. Witta bilet wolnego wpuszczenia do więzienia Karmelitów, ostrzega mnie, iż nazajutrz o godzinie 11téj z rana pojazd jéj będzie przed mojem mieszkaniem. Zaklinała mnie tylko, ażebym téj wolności nie nadużywała. Nie umiejąc po rosyjsku odczytać rozkazu gubernatora, udałam się z nim do pani Fredro. Ta po przejrzeniu, uznała potrzebę przesłania go ko-

mendantowi placu, abym już nazajutrz żadnéj nie napotkała przeszkody.

Dnia 25 Listopada wsiadłam do karety i udałam się do ratusza po wyznaczonego mi oficera. Tam dowiedziałam się, że pan jenerał Pęcherzewski nie wie o żadnym rozkazie i że nawet zakłada wątpliwość, czy mi jaki wydano. — Obruszona niezmiernie tak nieprzyzwoitą odpowiedzią, odrzekłam jego adjutantowi, że jeżli jego jenerał nosi polskie nazwisko, toby powinien wiedzieć, że Polki do takiéj bezczelności nie są usposobione i że kiedy u niego moje słowa na wiarę nie zasługują, udam się do gubernatora, aby mu powtórny przysłał rozkaz. Na te słowa, a może bardziéj na wspomnienie tego, co się stało z byłym komendantem Pragi, kazał mi zaczekać (bo ja ciągle w powozie siedziałam); za kilka minut przybiegł inny oficer z przeproszeniem, że ów rozkaz odnalazł się i że on jest przeznaczony do towarzyszenia mi na Leszno.

Kiedy w czasie tego przejazdu mój oficer zaczął akcentem litewskim narzekać, jak dzisiejsze obowiązki względem Polaków są im trudne do wykonania, dałam mu do zrozumienia, że niepowinien zapominać w jakich stósunkach zostawała Litwa z Polską i że jeżeli dzisiaj chce je godnie pełnić, to mu się nasuwają tysiączne sposobności pomocy, osłody, ochrony dla nieszczęśliwych współbraci. W pobliżu Karmelitów kazał stanąć (zapewne, aby uwagi przechodniów niezwrócić); poszliśmy więc pieszo do bramy klasztoru, on naprzód, ja za nim.

Przewodnik mój długo kołatał u furty, nim przyszedł rozkaz otworzenia jéj. Użył tego czasu, aby mi wyperswadować chęć odwiedzenia więźni: mówił, że widok żołnierstwa, krat, okien pozamykanych przykre na mnie zrobi wrażenie. Nie wiem, jakie były powody tego kazania, ale to pewna, że przeciwny jego chęciom robiły na mnie skutek. — Aby mu nakoniec usta zamknąć, zapytałam, czy w przejściu mojem z jenerałem Pęcherzewskim nieprzekonał się, że mi na odwadze nie zbywa, i tutaj więc pewnym być może, że gdyby ci więźniowie nietylko za kratami, ale i pod ziemią byli, tobym jeszcze niecofnęła kroku.

Nareszcie po dobrym kwandransie czekania otworzono podwórze i ledwo się tam ciasną furtką wcisnęliśmy, zatrzaśnięto ją za nami. Tam znowu trzeba było wzywać komendanta więzienia, który miał ostatecznie pozwolić na wejście do tego smutnego gmachu, w którym od kilku lat tyle przejęczało ofiar, a niejeden życia dokonał w rozpaczy, lub w okrutnych mękach.

Odwach był liczny w podwórku — w sieni i na wschodach gęste szyldwachy. Pierwsze piętro przeszłam bez zatrzymania się. Na drugiem znalazłam jeszcze liczniejsze straże, a prócz nich dwóch żandarmów strzegło wejścia w korytarz bardzo długi. Domyśliłam się, że tu muszą siedzieć moi więźniowie, bo przy drzwiach po jednéj stronie korytarza sześciu narachowałam szyldwachów. W tym korytarzu kazano mi się zatrzymać: oficer wszedł do jednéj celi i niezadługo wybiegł do mnie Wincenty ogolony, uczesany, w nowem ciepłem odzieniu i wprowadził do swojego mieszkania. Uściskaliśmy się serdecznie, jak starzy przyjaciele i nie bez rozrzewnienia. Zapytał mnie najpiérwéj, czy odebrałam list jego na ręce gubernatora pisany. Odpowiedziałam zdziwiona, że nie. Na to on powiedział: „ach, to zapewne nadto się w nim uniosłem wdzięcznością dla ciebie siostro; oni niechcieliby nikomu pokazać ani uznać sami, że są u nas dusze odważne i szlachetne. — Tu w więzieniu, trzeba się wyrzec wszelkich rozrzewniających uczuć, ale ztąd (pokazując mi na serce) nigdy one nie wyjdą.“

Mówił potem, że od kilku dni jest już do Karmelitów wprowadzony, że ma stancyą ciepłą, że mu wolno golić się, — że po dwa razy przysyłał do niego gubernator oficera z papierem i kałamarzem, aby mógł oznajmić sam przez siebie, czego mu brakuje; — że jest przekonany, iż mnie te osłodzenia winien, — że jeżeli mu wolności nie jestem w stanie zwrócić, to przynajmniéj więzienie uczynię mu znośniejsze. Między gazetami leżącemi na stoliku, spostrzegłam i amnestyą cesarza. Tę wziąwszy do ręki, tak mówił: „ztąd dowiedziałem się, że mnie mają sądzić. Bronić się nie będę, choć mi to już proponowano. Nigdy nic skrycie nie robiłem. Moje więzienie sześcioletnie jest wiadome. — Moje urzędowanie w czasie powstania znajdą w papierach publicznych. Aktu detronizacyi nie podpisałem, bo wówczas nie byłem posłem. Już nawet przed powstaniem, przez przedaż majątku mego w Królestwie, a nabycie innego w Księstwie Poznańskiem i złożenie homagium królowi pruskiemu, przestałem być poddanym cesarza. Więc krzywoprzysięztwo ciężyć na mnie nie może. — Powstania sam niezrobiłem. — Powołany zaszczytnie przez rodaków do steru rządu, odmówić tego nie mogłem, bo jestem Polakiem — bo powołanie to uważałem ze strony ziomków za wynagrodzenie tyloletnich przykrości i gwałtów na mojéj osobie dokonanych. To wszystko jest wiadome wszystkim. — Ponieważ zawsze działałem otwarcie, nic tajemnego, ani na obronę, ani na potępienie mnie niewynajdą. Żyłem i umrę z przekonaniem, iż zawsze działałem, jako Polak kochający swą Ojczyznę. Ta pewność dozwoli mi mężnie znieść katusze; — to przekonanie, tak przed Bogiem, jak przed ludźmi, mnie wytłómaczy.“

Pytał mnie potem o braci swoich; powiadał, że ma pozwolenie pisania do nich na ręce gubernatora, że był badany o stopień naszego pokrewieństwa i czy prawda, żeśmy się razem w domu rodzicielskim chowali. „To ostatnie pytanie potwierdziłem, domyślając się, że je twoje poczciwe serce nasunęło, aby lepiéj twoją o mnie troskliwość pod ich grube zmysły naprowadzić.“

Niewidząc Olizara, zapytałam o niego. Odpowiedział mi obecny przy rozmowie oficer, że ma rozkaz na żądanie moje przyprowadzić go. Gdy wyszedł, korzystał Wincenty z téj kilkominutowéj naszéj samotności, aby mnie zapytać, czy nie wiem, co się z nieszczęśliwym Olizarem stanie, którego okropna przykrość czeka, a który żadnego na swoją obronę nie ma sposobu. Odpowiedziałam mu, że jeszcze nic stanowczego względem obydwóch więźniów wybadać nie mogłam; ale że ponieważ Olizar jest Wołynianin, sądzę, że będzie wywieziony i sądzony w swojéj gubernii.

Gdy Olizar przyszedł, starałam się go pocieszyć tą wiadomością, że pani Sobańska pisała do żony jego i że tą drogą będzie niedługo miał od niéj wiadomość. Podziękowawszy mi za przysłaną pościel i ubranie, dodał ze smutkiem, że nie pragnie mieć od żony wiadomości, boby chciał zapomnieć, że są drogie istoty, które nieżadługo śmierć jego opłakiwać będą musiały.

Wincenty powiedział mi, że jego służący Mikołaj przez poświęcenie i chęć służenia panu przyjął dobro-

wolnie więzienie osobne, z którego tylko jest wypuszczany rano i w wieczór dla zrobienia potrzebnéj Wincentemu posługi. Odpowiedziałam, że ten czyn i panu i słudze równy czyni zaszczyt.

Mając pozwolenie udzielenia Niemojowskiemu książek, zawiozłam kilka tomów z biblioteki Prota Lelewela, na których, dla większéj pewności zwrotu, moje nazwisko podpisałam. Ponieważ to były dzieła filozoficzne, żartował ze mnie Wincenty, że sobie reputacyą uczonéj kobiety między Moskalami zrobię. Pytał mnie o mojego męża (byłego wice-gubernatora Warszawy, którego ówcześnie więziono w Poznaniu w klasztorze Franciszkanów). Nareszcie zaręczał mi, że chociaż przez niemożność dostania paszportu do Prus, osobiście użyteczną mężowi być nie mogę, Bóg wynagradzając moją o krewnego troskliwość, pewno i jemu jaką niespodzianą pomoc zeszle. Potem uczynił mi jeszcze kilka politycznych zapytań. Obawiając się odpowiadać na nie, wskazałam na mego oficera, mniemając, iż on lepiéj potrafi na nie odpowiedzieć. Oficer wystraszony mojem zagadnieniem, spuścił oczy i coś po moskiewsku zamruczał. — Wincenty na głos zaczął się śmiać, mówiąc, że się Basi fortelik nie udał, a wtedy i Moskal swoim śmiechem położył koniec téj ciekawości. — Cytuję te drobnostki na dowód, jak Wincenty był łatwy do rozweselenia i jak pogodną miał duszę w obec najsmutniejszych okoliczności.

Upłyniona godzina mojéj wizyty i powstanie z miejsca obecnego dozórcy dały znak odjazdu. Z westchnieniem pożegnaliśmy się wszyscy. Wincenty zapomniawszy, gdzie jest, wziął mnie pod rękę w celu wyprowadzenia na korytarz. Szyldwach bagnetem założył mu drogę; robił on tylko swoją powinność, a jednak to smutne przypomnienie niewoli było niezmiernie bolesne. Zrozumiał widać nasze uczucia obecny oficer, bo nas przeprosił za prostotę żołnierza i pozwolił Niemojowskiemu odprowadzić mnie aż do wschodów. — Już ztamtąd bez obrócenia głowy zbiegłam na dół co prędzéj. W pojeździe oficer musiał wysłuchać moich uwag o łagodnem postępowaniu i obchodzeniu się z więźniami w krajach cywilizowanych; a chcąc go na przyszłość zobowiązać, zastósowałam je do ostatniego jego postępku. Słuchał w milczeniu, a gdy już przy ratuszu wysiąść miał z powozu, prosił abym zechciała wziąść adres jego i była pewna, że na każde moje zawołanie starać się będzie stać się użytecznym Niemojowskiemu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Salvatora Rosy Satyry i Ody.

(Dokończenie).

Opieka, jaką w dzisiejszych czasach rozciąga dwór katolicki (?) hiszpański nad królestwem Obojga Sycylii, datuje się od dawna. Skutkiem téj opieki raj ziemski spustoszony został tak, że nie zostało, jak kamień na kamieniu; skutkiem téj opieki królestwo obojga Sycylii, wyjąwszy Neapol i jego okolice, przedstawia w oczach podróżnego przestrzeń podobną Egipskiéj, Macedońskiéj, Mexico i wogóle tych wszystkich, przez które przeszedł gniew boży pod postaciami despotyzmu, ciemnoty, rozbojów, demoralizacyi, wytępiania ogniem i mieczem i poniżenia istoty człowieka. Czem była Hiszpania w Indyach, czem była u siebie czasu Inkwizycyi świętéj, tem była w Neapolu i Belgii, plagą bożą, w osobach dumnych hidalgów, złotem przeszywanymi płaszczykami okrytych — do postępu ludzkości katolicka Hiszpania przyniosła jedynie dzieła kilku wzniosłych autorów, kilku poetów, jak Calderon, Lopez, Cervantez i t. p. Zewnętrzna polityka Hiszpanii podobną była, jeźli nie gorszą, do dzisiejszéj angielskiéj, zniszczéć, obedrzéć, wyssać krew do ostatniéj kropli i tak rozciągniętego trupa zostawić na dziwowisko wiekom — o poświęceniach za ojczyznę nie ma tu mowy, czyny téj kategoryi nazywają się domowymi, a tu się mówi o sprawach za domem.

W roku 1646—1648 przygotowywała się owa rewolucya rybaka z Amalfi, Tomasza Aniello, zwanego powszechnie przez skrócenie Masso-Aniello. — Hiszpanie posunęli ździerstwo do ostateczności. Gubernatorowie hiszpańscy nakładali nieustające kontrybucye; chciwość złota pożerała hidalgów. Dziś nakazano wypłacić 160,000 dukatów, jutro 50,000, pojutrze dwakroć, dość, że mało powiedziéć mienie, Hiszpanie wydzierali życie Włochom, od nędznéj strawy, od garści zieleniny trzeba się było opłacać, od chleba wprowadzanego do miasta, to też zemsta poczęła robić swoje, między przekupniami ryb, między biedactwem ulicznem, powoli, spokojnie oczekując chwili odpowiedniéj na wyrzeczenie ostatniego słowa.

„Pessimo fra tutti i mal governi stranieri che han dato il guasto all' Italia fu lo Spagnolo,“ powiada Carduci i prawda: Normandowie i Saraceni mniéj się dopuszczali zbrodni we Włoszech, jak ci sławieni w balladach rycerze. Sprzedaż urzędów publicznych ludziom najpodlejszym praktykowała się każdo-dziennie, zajmowano porty i twierdze, przerabiając je na kościoły, jakoby dla chwały bożéj, a właściwie dla rozbrojenia nieszczęśliwego kraju; sądy i wyroki na korzyść tego zapadały, kto lepiéj zapłacił, żadna, choćby najstraszniejsza zbrodnia przez możnego dokonana, niepociągała odpowiedzialności — przysłowia ludu najlepiéj rzecz objaśniają, owóż z czasów, o których mówimy, doszły nas następujące: Hiszpanie w Sycylii ogryzają, a pożerają w Neapolu; z owego czasu także pozostał wiersz p. t. Pater noster treści następującéj:

Pierwsza rzecz, co Hiszpan czyni,
Że po kątach domu wietrzy,
A gdy co do wzięcia zdybie,
Adveniat
Rzekąc: biada, kto mnie trąci!
Z dumnym wzrokiem, naprzód piersią,
Myślałbyś, że już na zawsze
Regnum tuum.
Pójdź kurczęciu i kurzyco,
A nie, to cię w gnieździe zduszę;
Tak, że człek powieki spuszcza
Fijat.
Niedość im zabierać odzież,
Z ostatniéj odzierać skóry,
Zamiast chleba koniom dają
Panem nostrum.
Potem każde złe już małe . . .
Chcąc swe żądze zadowolnić,
Do żon naszych się dobiera
Sicut et nos.

A kończy prożbą:

O Panie, połącz Italią w jedno,
Żebyśmy od tych psów już wolni byli.
Niech każdy baron uzbroi się cały,
Żeby te bestye pociąć na kawały.

Od r. 1631 do 1637 wicekról hrabia Monteres wybrał podatków 47 milionów dukatów; następnie od 1637 do 1644 książe di Medina drugie 47 milionów, aż przyszło do tego, że cztery rodziny niegdyś zamożne, nie mogły złożyć się na ugotowanie jednego obiadu — lud płacił dwanaście milionów dukatów w złocie rok rocznie, które sławny admirał Castylii podniósł o milion stotysięcy dukatów; a kiedy lud błagał o sprawiedliwość, w Madrycie odpowiedziano mu fuori (precz). Po ździercach, o których wyżéj, przyszedł książę Arcos i ten wziął się do podnoszenia podatków, ale już nie było z czego drzéć, bo Włochy nie mieli na czem sypiać i tułali się po borach, jak zwierzęta. Wtedy to usłyszano w Neapolu: „żony i córki Włochów na sprzedaż!“ a podatek musi być zapłacony.

Ile ten stan ojczyzny ciężyć musiał na Salvatoriellu, każdy uczciwy zrozumie; to też kiedy w Niedzielę dnia 7 Lutego roku Pańskiego 1647 gospodarz z Puzzuoli niechcąc płacić podatku od fig, nędzną garść owoców wyrzucił z koszyka na ziemię i kiedy Mazaniello ryknął z szerokiéj piersi: krwi za krew naszą, i kiedy nędza uzbrojona rzuciła się na pałac wice-króla, niechcąc wchodzić w żadne układy, póki od podatków straszliwych zwolnioną nie będzie. Salvator Rosa w kompanii malarzy, jako to: Vaccarich, ojca i syna — del Po — Porpora Coppola i Cadagora, pod dowództwem Aniela Falcone, stanął jako jeden w kompanii tak zwanéj della Morte, to jest towarzyszów śmierci, pędzel malarski i pióro poety odłożył Rosa na czasy szczęśliwsze, czując się przedewszystkim obowiązanym do wypłacenia macierzystego długu.

Ktoby chciał pisać powieść z życia artysty, miałby w tym miejscu sposobność do opowiadań arcy zajmujących; Lady Morgan z nieporównanym talentem skreśliła najdrobniejsze szczegóły życia Salvatora Rosy, ograniczając się przeto do najgłówniejszych faktów dość będzie powiedzieć: że Salvator nie próżnował w nowym rzemiośle, ale obyczajem ludzi, którzy do upakarzania wrogów się biorą, oprawiał Hiszpanów po ciasnych kątach Neapolu, ile że zresztą, jak powiada łacińskie przysłowie: Felis amat pisces, sed non vult tingere plantas, to jest, zjadłby kot rybę, ale mu się łapy umaczać nie chce; owoż żeby się do wolności dobrać, trzeba koniecznie, żeby kot łapę umaczał. — Kiedyś w Louvre w niedzielę, kiedy publiczność paryska ma wstęp otwarty do tego przybytku arcydzieł, zdarzyło mi się słyszeć rozmowę dwóch starych inwalidów przed obrazem Salvatora Rosy przedstawiającym bitwę, dwaj wojacy podziwiali prawdę téj szalonéj rzezi jako prawdziwi znawcy nie obrazów, ale przedmiotu i ostatecznie z rozmowy ich wypadło, że malarz musiał służyć — nota bene w nomenklaturze inwalidów wyraz służba bierze się w znaczeniu czysto wojskowem i wymawiany bywa poważnie i z pewnem uszanowaniem, — po dwóch set latach świadectwo starych napoleonistów dostatecznem byłoby na udowodnienie, że Salvatoriello praktykował rzecz wojskową, i że do studiów w tym rodzaju przykładał ręki.

Całe noce pomiędzy ludem na wybrzeżu nea politańskiem przepędzał obok capitano generale del fedelissimo popolo Tomaso Aniello, którego portret przy świetle pochodni malował, i to jest jedyny jaki pozostał prawdziwy portret Mazaniella — wizerunek ten bohatera rybaka znajdował się w Rzymie w galeryi kardynała Fesch.

Nie tu miejsce opisywać wypadki znane w historyi, wiadomo jak się zakończyła owa dziwna rewolucya neapolitańska, wiadomo jak lud przez Hiszpanów został okłamany, jak go na nowo ujęto na łańcuch, jak nieszczęśliwy Mazaniello poniósł śmierć z rąk własnych braci, jak włóczony był po Neapolu przez gmin rozjuszony, jak późniéj, kiedy się sumienie rozbudziło w motłochu, Hiszpanie pogrzéb mu książęcy, żeby w parę dni późniéj trupa obedrzéć i na nową wystawić zniewagę, wyprawili, to wszystko zanadto znane, żeby zatrzymując się nad tem, przerywać bieg biografii poety malarza.

Po śmierci Mazaniella, lud żądał ogłoszenia republiki, która przez chwilę zwycięzka upadła brakiem wytrwałości i Neapol poddał się wice-królowi hrabi Ognante i wojsku Don Zuana austryackiego, poczem kompania artystów dusicieli, niedowierzając kłamliwéj amnestyi, z za któréj przeglądały szubienice, rozpierzchła się po wszystkich końcach świata, Falcone udał się do Francyi, a Salvator Rose powrócił do swojego rzymskiego studium na rogu ulicy Babuino.

Co się działo w sercu Salvatora, świadczą pozostałe po nim Ody, a mianowiciej Oda VII w zbiorze obecnie wydanym z dewizą z ksiąg Joba Quare ergo impii vivunt sublevati sunt confortatique divitiis zaczynająca się od słów:

Vedendo solo al trono
Gli empii inalzati a dominare il mondo...
Widząc wzniesionych na trony
Bezbożnych, by rządzić światem etc.

Miłość ojczyzny i jéj poniżenie znalazło w téj pieśni wierny swój obraz. Poeta przechodzi wszystkie nieszczęścia Italii i równie jak Petrarka i Manzoni boleje nad niedolą i rozdarciem współbraci, kończy zaś nadzieją, że los jest zmienny i że Pan Bóg rządzi.

Salvator jakkolwiek brał czynny udział w powstaniu neapolitańskiem, nie liczył się do demagogów, czego najwyraźniejszy dowód zostawił po sobie w znanym obrazie przedstawiającym spisek Katyliny — w malarstwie i w poezyi oddawał życie takiem jakiem jest, nie robiąc ustępstwa na korzyść złéj natury ludzkiéj. Kochając prawdę, chłostał nielitościwie równie wrzeszczących Katylinów, morderców Mazeniella, jak i książąt odzianych władzą, jak i artystów modnych, muzyków, poetów, wszystko to przychodziło na sąd Rosy, który z uśmiechem na ustach, z bystrością w oczach pędzlem czy piórem malował ten świat piękny, jedyne odetchnienie znajdując w naturze, którą też z dziwną miłością na płótno przenosił.

Patrząc na to mnóstwo bitw, na to ponure niebo peyzażów, na Katylinę, Dyogenesa, czytając wreszcie Satyry i Ody, otrzymujemy najdokładniejszy wyraz umysłu Salvatora Rosy. Cynizm grecki, filozofia króla Eklezyasty, Vendetta włoska i dobroduszność Neapolitańczyka, oto jego żywioły składowe, cztery struny na-

ciągnięte wedle reguły muzyki, które nigdy fałszywego tonu nie wydały.

Ironiczne uśmiechy, a mianowiciéj z własnéj biedy, są to, jakby się przez porównanie wyrazić, nie loty jeszcze do biegania po górnych strefach, ale pałki na ptaku, jeszcze one więcéj bolą biedne zwierze, niż mu pomagają, to pewno jednak, że bez nich ptak by niedostał skrzydeł. — Pisma Salomona, księgi Ekleziasty, księgi Job, obok wzniosłości, niedościgniony mają charakter ironiczny; duch wyższy zamykając się w sobie, wszystkim nędzom ziemi uśmiech ironii posyła. Nie pycha to, ale godność, która się broni przeciw światu rozkrywaniem fałszów, jest to zetknięcie się idealności z najniższą realnością, jest to pożegnanie kłamstw, jest to wstęp do przyjęcia prawa Zbawiciela, po którym następuje cisza, pokój, łza i praca. — Sam wyraz ironia znaczy gniewliwość, albo raczéj drażliwość, od któréj odmiennym jest złość.— Gniewliwość, choć nie jest cnotą, nie jest grzechem, irato sempre e non maligno mai, powiada Alfieri, pokąd jesteśmy w ciele jest ona naturalną. — Przysłowie włoskie mówi: cztery dobre matki wydały czterech złych synów: prawda nienawiść, chwała pychę, pewność niebezpieczeństwo i dobra wiara zdradę; owoż nie cztery, ale pięć matek, dodawszy gniew, który rodzi szyderstwo. Szyderstwo nie jest ironią, choć z nią tak blizko graniczy, ironia bowiem szanuje prawdę, któréj szyderstwo, depcąc po gruzach wszystkiego, niewidzi i nienawidzi.

Z czasów nędzy Salvatora, kiedy po upadku sprawy neapolitańskiéj tułał się między rozbójnikami czyli malkontentami, których to kawalerów dostarczała zawsze ziemia pupilla bożka Merkurego, Calabria i z następnych niedostatków w Rzymie, Rosa zostawił następujący o sobie wiersz humorystyczny:

Odkąd wyszedłem z powicia,
Bieda mnie nieopuszczała,
Fortuno, toż i ja z ciała,
To przyjdź aby raz za życia.
Bieduję, jak pies się zzieję
Wpośród troski nieskończonéj,
Żebym miał choć na chleb słony,
Opuszczają mnie nadzieje.
Dla mnie niebiosa się chmurzą,
Głuche morze, ziemia sucha,
W pokój wierzę siłą ducha,
A wciąż muszę walczyć z burzą.
Idę prać, leje na głowę,
Wstąpię w morze, wnet się wzdyma.
Choćbym odkrył Indye nowe,
Słowo moje wiary nie ma.
Jestem chrześciańskiéj wiary,
A w żydostwo wierzyć muszę,
Spiesząc z fantem na Rzym stary
Pomiędzy Mardocheusze.
I zważcie, jak się los bisi
We dni wściekłéj kanikuły,
Ja na gorąco nieczuły
Maszeruję w czapce lisiej.
We dnie i w nocy ponuréj
Rozmaita myśl mnie bodzie,
I stawiam zamki na lodzie
Nieznając architektury.
O bogi! z malarstwać żywię,
Czyż co więcéj śnić się godzi?
Kolory mam niewątpliwie,
A rysunek niewychodzi.
Okręt Anglów, Franków staje
Rzutem pędzla z maszty swemi,
Innym daję całe kraje,
A sam nie mam piędzi ziemi.
Gdy się przybliżam do dworu,
Wskazują mnie pokojowi,
Satrapy złego humoru
Z sukni mojéj drwić gotowi.
Wierzcie w swego Rosy słowa,
Na rym próżno tracić chwile,
Jedyna rzecz, co jest zdrowa,
Nie mieć mózgu ani tyle. . . .
Bo tak mówiąc bez ogródka,
Rozum dziś za mało znaczy,
Pragniesz cnoty, sprawa krótka,
Szykuj sobie kij żebraczy.

Co bądź artysta nasz, trzeba wyznać prawdę, nie zawsze w takim się stanie znajdował, przyszedł czas, kiedy za obrazy płacono mu na wagę złota, czas kiedy Rosa dawał obiady we Florencyi, na których wszystko, cokolwiek najznakomitszego znajdowało się w mieście Medyceuszów, zasiadało przy jego stole, raz dla wyszukanych półmisków, a powtóre i dla nieprzebranego dowcipu autora Satyr i Kanzonentów improwizowanych z towarzyszeniem neapolitańskiéj gitary.

Do dziś dnia we Włoszech wieczory muzykalne czy literackie nazywają akademią; owoż takie akademie, z przyjacielem swoim humorystycznym poetą Lippi, dawał Salvator Rosa, urozmaicając posiedzenia słodką jagodą Falerno, tak wymownie zalecaną w Horacego wierszach.

Jest to epoka naszego artysty w wulgarycznem znaczeniu najświetniejsza, Rosa wyrobił sobie pozycyą, a właściwie mówiąc, jest to początek jego pochylenia się nie jako artysty, malarza, poety, ale jako człowieka; Fortuna powiadają Włochy ślepa, to też i ludzi zaślepia: począł się wozić poszostnymi karetami, do Rzymu wjeżdżał otoczony licznym sług orszakiem, w jedwabiach ze szpadą przy boku niby tryumfując nad swoimi nieprzyjaciołmi, co wszystko wygląda śmiesznie i wcale nie zgadza się z pierwotnym jego charakterem filozofa, poety, admiratora dyogenesowéj prostoty etc. wszystko to jednak można mu wybaczyć, spostrzegając go z innéj strony, ze strony dobroczynności, koleżeństwa i śmiechu z tego, co na siebie przywdziewał właśnie dla tego, żeby pokazać, jak cała ta pompa, którą jedną świat piękny posiada, i złamanego szeląga nie warta.

Towarzystwo Rosy składali ludzie najrozmaitszych opinii, rewolucyoniści, książęta i o dziwo! zacoby dzisiaj kamieniami zasypali artystę, Jenerał Jezuitów, pomimo Satyry pod tytułem Babylonia, był jego przyjacielem, znać, że w owym czasie nie pytano się o to: z kim żyjesz, ale co robisz. Rosa posiadał ogromną naukę, dość przeczytać jego Satyry, żeby wiedzieć jak wszechstronnie był wykształconym, ztąd to bez względu na częste jego extra-wagancye, otaczała go aż do końca życia niby Ateńska szkoła młodzieży, z którą w ogrodach Lukulla w Rzymie odnawiał jakoby perypatetyczne przechadzki.

Nasci pena, vita labor, necesse mori,

położywszy sobie za ostateczny rezultat swojéj filozofii, pracował dzień i noc nad literaturą i malarstwem, czę-

sto zamykał się na długie miesiące nie przyjmując nikogo, nawet z najbliższych swoich i niewidując się z nikim, poczem nagle pokazywał się, wesół i odnowiony moralnie towarzystwem wielkich pisarzy, z których dziełami przez ten czas przestawał. — Życie pracą a śmierć koniecznością: trzeba więc spieszyć się, żeby coś po sobie trwalszej zostawić wartości, to też Rosa niezasypiał i w dziełach dokonanych zostawił po sobie niepożytą pamięć.

W ostatnich latach geniusz jego rozwinął się najpotężniéj, podobnie do gasnącéj lampy, która

„jak gdyby dając zgonu hasło,
„ostatni wielki krąg światła roztoczy,

za nim na wieki zagaśnie.

Rosa umarł w Rzymie r. 1673 w 58 roku życia, pochowany w kościele Santa Maria degli Angeli alle Terme z następującem epitaphium:

Poëtarum omnium temporum principum parem.

Krytycy zarzucają mu w Satyrach, że jednym pomysłem psuł drugi, obfitość jego geniuszu zatrzymywała się zbyt długo nad jedną i tą samą rzeczą, o któréj raz wyrzekłszy szczęśliwe zdanie, powinien był przechodzić do innych przedmiotów, a nie jak to czynił, mniéj szczęśliwymi pomysłami psuć wrażenie pierwszego zdania. — Język jego pełen neapolitańskich prowincionalizmów, a wyrażenia często nie zbyt wyszukane; bacząc wszakże na prawie współczesnego mu Szekspira, można to sobie tłómaczyć epoką, w któréj nie było obyczajem ubierać brudy w piękną tkaninę słów, jak tego daje przykład z wyjątkiem Victora Hugo (? Red.), wielbiciela słowa półkownika Cambrone, cała dzisiejsza literatura powieściowa francuzka.

Żeby dać wyobrażenie o niepodległości zdania Rosy, znajduję koniecznem przytoczyć niektóre jego sądy o sztuce, znajdujące się w Satyrach obecnie wydanych, i tak co do muzyki:

Dla zrozumienia téj Satyry trzeba wiedzieć, że muzyka, którą we włoskich kościołach bez wyjątku słyszéć można, nie pobudza bynajmniej do modlitwy, najczęściéj tam (z wyjątkiem jednego kościoła ś. Piotra) w czasie podniesienia Najświęt. Sakramentu grywane bywają walce, galopady i inne tym podobne szynkowniane kompozycye, która to profanacya muzyki nie od dziś się poczyna — chóry kościelne, zwykle ze śpiewaków teatralnych rekrutowane, nie mało także do życzenia pozostawiają, przedęte głosy, krzyki, piski, nie miejsce święte, ale raczéj przypominają owe dantejskie koło, gdzie jak powiada wieszcz:

Quivi pianti ed alti quai
Risonavan per l'aere senza stelle,
Voci alle e fioche e suon diman con elle,

rzecz niewytłómaczona w kraju tak pięknych głosów i takiéj wrodzonéj zdolności do muzyki i jedynie tylko w ten sposób dająca się pojąć, że rodziny, w których się znajdują talenta, obawiając się stósunków pomiędzy śpiewającymi, niepozwalają dzieciom swoim brać udziału w exekucyi śpiewów kościelnych — dość, że podróżny, przybywający z Niemiec lub innych krajów, arcyprzykrego doświadcza tu wrażenia — Salvator Rosa pierwszy oburzył się na tę profanacyę miejsc świętych:

Ani dla drwinek, ani paradoxów,
A jednak powiem, że muzyka taka
Mogłaby nazwać się obrzydliwością....
Niegdyś w pogardzie była w całéj Romie
Owa muzyka, dziś podziwiaj Lazio,
Czy niezwaryjujesz od owych piękności:
Iluż Tigellów liczyłby Horazio
W naszym czasisku błaznów i głuptasów,
Co aż w kościołach, aż w tych miejscach świętych,
Wiją swe gniazda i bezczeszczą one.
Przeciwko bogu bluźnią za dni naszych
Hymny, co z piersi bezbożnych wychodzą.
Rycząc i wyjąc święte msze bezczelnie,
Gloria i Credo i Ojcze nasz tłuszcza,
Głuszy powietrze i uszy rozdziera
Tak, że świątynia prawdziwego Boga
Raczéj się Arką Noego wydawa, —
Na sposób farsy lub komedyi istnéj
Swe wyprawiają podłe sarabandy.
Zaiste milszem w przedwiecznego słuchu
Byłby głos serca, co mu w ciszy gada,
Jak stu Arionów pieśni i muzyka.
O! kto chce śpiewać, niechaj naśladuje
Króla Psalmistę i Cecylię czystą.
Jedna muzyka, co niebo przenika,
Wychodzi z duszy, co niebrzęczy, śpiewa,
Lecz jak Jeremiasz, albo Job zawodzi.
O głupstwo ludzkie, o piersi bezwstydne!
W czasie modlitwie cichéj poświęconym,
Na chórze pańskim stać z nótami w ręku.
Toż zamiast oczy myślą skruchy łzawić,
Chrześcianin słucha, nadstawiając uszy,
Jakiegoś bassa, jakiegoś tenora,
A jeszcze z jakich to wychodzi piersi itd.

W poezyi także Maestro Rosa widział najzupełniejszy upadek; przesada, dziwotwory jezuickie obrażały estetyczne uczucia wielbicieli najpoprawniejszych pisarzy. I tak czytamy:

Neptun, ten bóg słony;
Indziéj: wieczysta pasza, gwiazd wozownia;
Indziéj: że słońce zrobiło się katem,
Odcinającym gwiad posępnych gardła.
Lecz któżby wolał czytać te książczyska;
Oto mi naszéj piękność poezyi:
Poci się ogień i metal rozlewa
Na twój obraz wrzucić całą kulę świata.
O Dafnie pieją, o Seryngi losach,
Żale Crocona, jęki Similaca,
Tersita bóle, a niech się urodzi
Książęce dziecię, wieszczków i śpiewaków
Poci się muza i tnie swoją sztukę.
Arystofanie i ty Horacyuszu,
Kędyż jesteście, o wielki Horacy,
Gdybyś dzisiejsze słyszał nasze rymy,
Otóżbyś krzyczał . . .

W malarstwie filozof nasz bolał nad widocznem skażeniem smaku już przez samo upodobanie publiczności w obrazach rodzajowych, w szkole flamandzkiéj, która wówczas grasowała na dobre, i więcéj ceniono głowę kapuścianą, jak portret znakomitego męża — przepłacano obrazki przedstawiające pijaków karczemnych — sceny najobrzydliwszéj prozy — słowem to, co się kryje przed okiem najmniéj cywilizowanego człowieka występowało jako godne sztuki — wszystko, co jest w naturze, jest prawdziwe, ale niewszystko, co jest prawdziwe, może być pięknem; pod tym względem Salvator miał najzupełniejszą słuszność.

Zwolennik czystego stylu nieprzebaczał nawet wyższym od siebie uświęconym powagom, przeciwko którym aż do dziś dnia nikt się nieważy wypowiedzieć sądu, choćby wewnętnie o ułomnościach był najprzekonańszym — jeden z naszych krytyków podróżujących, krótko a węzłowato wyraził się o Rafaelu, że jest bez ale — otóż Rosa i w Rafaelu ale wynalazł i w wielu miejscach arcy-słuszne czyni spostrzeżenia, jak np.:

I malarzowi przyda się nauka,
By niemalował jak jeden z geniuszów
Ewę, okrytą od wstydu nie liściem,
Ale bisiorem. . . .
Albo jak można uwielbiać na ślepo
Obraz Adama Rafaela pędzla,
W ręku z porządną żelazną motyką.
Gdy Michał Anioł odkrył przed Papieżem
Sąd ostateczny, wszyscy zawołali
O nieśmiertelneż to dzieło zaiste!
Jeden się tylko znalazł profan szczery,
Który swe zdanie objawił, jak trzeba,
Rzekąc odważnie: twój sąd ostateczny
Pojęty dobrze, odkryłeś albowiem
To, co się zwykle za życia zakrywa. —
Michel Angielo, mój wielki malarzu,
Wymalowałeś zaprawdę sąd wielki,
Acz co do rzeczy miałeś sądu mało.
Ja nieoceniam ciebie wedle sztuki,
Lecz mi się zdaje, co do obyczajów,
Żeś popadł w błędy i zaraz ci powiem:
Czyś niepomyślał, że robisz w kościele,
I że to pańska świątynia, nie łaźnia?
Czy zapomniałeś, jako syn Noego
Ściągnął gniew boży, że obnażył ojca;
A tyś się niebał Chrystusa i Maryi,
Malując one bezwstydne golizny,
I aż do świętych na swoim obrazie·
Toż kędy pasterz najwyższy ofiarę
Czyni przed ludem w tem miejscu przeświętem,
Mamy oglądać bezwstydności ludzkie.

Satyry: wojna, babylonia i zazdrość, w których traktuje kwestye niepodległości włoskiej, ściągnęły na niego prześladowania i zatruły ostatnie chwile życia, przyjaciele odwrócili się od niego, nieprzyjaciele choćby podobnych jemu opinii, klasnęli w dłonie i Salvator został sam jeden, za całą nagrodę mając przekonanie, że powiedział wszystko co myślał, co mu sumienie doradzało wypowiedzieć. Jak Molier za Tartufa, tak Rosa za Satyrę Zazdrość i Babylonia musiał odcierpieć i inaczéj być nie mogło, bojowaniem albowiem jest żywot człowieczy i kto rany zadaje, rany odbiera.

Rozmaite wiadomości.

(Nadesłano).

Niedawno przytoczono ze słusznem oburzeniem w jednéj z gazet krajowych słowa cara Mikołaja, który projektował (podobno 1853 r.) z właściwą wszem Chanom arbitralnością odbudowanie Polski tylko po Wisłę. — Czyż niedopuszczamy się podobnéj krzywdy względem Rusinów, chcąc ich dzielić na polskich i moskiewskich. Zaiste, może zbyt wcześnie teraz już dysputować nad granicami Ojczyzny; lecz dzisiaj kładąc zasady naszych nadziei, broń Boże, byśmy grzeszyć mieli sobkowstwem, jakiem Turcy, Madziary i Niemcy się powodują względem Słowian. Czyliż niestósowniéj brzmią ze stanowiska polskiego słowa Tygodnika Poznańskiego (Aforyzmy literackie) „przez Rusinów, którzy nigdy Dnieprem rozerwać się niedozwolą i z tym razem pójdą, kto im najwięcéj samodzielności ofiarować i zabezpieczyć będzie w stanie, zapewnimy sobie wybrzeża Morza Czarnego“ itp.*). Rzeczywiście misya polska zawsze być powinna zgodną z rozwojem własnéj swobody, opartą na zasadzie chrześciańskiéj miłości, choć ona niebardzo dotąd popłaca w stósunkach politycznych cywilizowanego świata.

Dla tego też Dziennik Literacki, czyli raczéj autor podróży do Moskwy w nim się drukującéj, powoduje się wcale innemi zasady, odwołując się na autorytet Moskali, przebywających w zabranych krajach (prawdziwie nader rzetelni świadkowie); ponieważ chłopek jakiś tam w Starokonstantynowskim powiecie miał się wyrazić jak następuje: „Tam, proszu pana, neznaju, ale ludy każut, że tam Nimci albo Turczyny — my tam nechodym, ditko znaje, szczo za bieda tam sedyt.“ — Niewchodząc w niewłaściwą treść tych wyrazów, zupełnie obcą ustom podolskiego chłopa, nawet i język i składnia są bardzo niepoprąwne — należałoby tak pisać: tam neznaju, ale proszu pana, lude każut’, szczo tamky Nimota abo Tureczyna; my tudy nechodymo did’ko znaje, jaka bida tam sedyt’.

Bynajmniéj nie myślę ubliżać innym ludziom traktującym ten przedmiot, zda mi się wszelako powinnością dodać uwagę w celu sprostowania cytatu w ukraińskim języku — wolelibyśmy ich wcale nieprzytaczać, niżeli zmieniać dźwięki ludowéj mowy i zasługiwać na śmiech moskiewskich Rusofilów, którzy nielepiéj od nas wymawiając po rusku, przecież uznają odrębność rusińskiego języka i dosyć dokładnie przysłuchują się jego dźwiękom, zarówno odmiennym od polskiéj mowy, ile od moskiewskiéj. —

Na dowód swego twierdzenia, szanowny wojażer przytacza bezbarwność narodowości w Charkowskiéj gubernii, która rzeczywiście w stolicy swéj, oraz we wschodnio-północnych powiatach niestety zawiera tyleż obcego elementu (kacapskiego), ile

---

*) Żeby nas źle niezrozumiano, oświadczamy, że za prawną ze wszech miar granicę pomiędzy Moskwą i Polską uważamy i my Dniepr i każdy prawy człowiek go za taką uważać musi; sądzimy jednak, że rzeczywista granica pójdzie albo przy źródłach Wołgi, albo przy źródłach Wisły, stósownie do tego, czy Polacy, czy Moskale Rusinów sobie zjednać potrafią. Zjednać ich sobie zaś tylko ci zdołają, którzy nietylko ich samodzielność pod każdym względem uznają, ale i wspierać ją wszelkiemi siłami będą. Tymczasem pomiędzy nami jest wielu ludzi dziwnie zaślepionych, którzy sądzą, że tak wielką kwestyą można załatwić kilku dowcipnie obmyślanemi frazesami i którzy zapominając o prawodawstwie, sądownictwie i zarządzie za polskich nawet czasów w jęz. ruskim, język ten głoszą ciągle za narzecze polskiego, stawiając go na równi z kaszubskiem. — Niebaczni, ani pomyślą może o tem, iż swoim fanatyzmem narodowym mogą nam na Rusi podobne klęski zgotować, jak jezuici swym fanatyzmem religijnym w 17 i 18 w. zgotowali. Lwowscy literaci zamiast się swarzyć ciągle ze St.-Jurcami, którzy o nich się nietroszcząc, szerzą coraz daléj kąkol w pszenicy, powinni byli już oddawna rozpocząć wydawnictwo czasopisma ruskiego łacińskiemi głoskami, a popierając z całą szczerością samodzielność narodową Rusinów, byliby ogarnęli cały ruch małoruski i zjednali nam całą ludność aż het ku wybrzeżom Donu i Kubanu, a o Św.-jurcach już dawnoby świat był zapomniał. (Red).

chersońska lub taurycka są przepełnione różnymi cywilizatorami. Dziwna rzecz wszelako, iż biegły nasz ethnograf raczył zapomnieć o téj ważnéj okoliczności, iż Dniepr dzieli Kijowską Ukrainę od Czernigowskiéj, Połtawskiéj i Jekaterynosławskiéj ziemi, czysto Rusinami zasiedlonych. Daléj dopiero leżą ziemia Czarnomorska, Charkowska i ościenne im powiaty gubernii Kurskiéj, Orłowskiéj, Woronezskiéj (zkąd rodem jest sławna autorka Marko Wowczok), niemniéj zamieszkałe przez Rusinów, jak Chełmska dyecezya i cyrkuły Lwowski, Samborski, Przemyski. Jednakże przebiegłą polityką sąsiadów te skrajne ziemie zostały administracyjnie odciągnięte od środka bratniego sobie żywiołu ukraińskiego, gdzie do najnowszych czasów były w zastósowaniu prawa Statutu Litewskiego.

Nielepszą wiadomość rzeczy ruskich dowodzi twierdzenie, jakoby w zabranych prowincyach cała ziemia aż po Dniepr była w rękach Polaków, wyjąwszy kilku majątków posiadanych jeszcze przez Moskali. Pocóż to wszędzie mamy taić sobie smutną rzeczywistość!?!

Z rzadkiemi wyjątkami, nasi panowie byli nieporządni, mało dbali o swoją ziemię, sprzedając swe majątki Niemcom i Moskalom. — Przez dziesięć lat spędzonych w pewnéj okolicy Podola patrzałem ze smutkiem na tylu obcych obywateli, którzy Bóg wie zkąd do nas przybyli — Trubeckoj, Sumarokow, Ghika, Quist, Abaza Roniker, Abumelek, Pirogow, Du-Hamel, Czemerinow, Witgenstein, Kicz itp. Najżyźniejsza podolska ziemia w ich ręce się dostała. Dodać należy majątki rządowe obywatelom skonfiskowane, oraz wojenne posilenia, które lubo dzisiaj zrównane z innemi, nieodzyskały jednakże narodowego elementu. — Lud rusiński, podzisiaj w ciemnocie chowany, niebrał elementarza do rąk. Obywatele Polacy nie mogli lub nie chcieli szkółek zakładać; woleli czasami dworską czeladź tylko łacińskiego alfabetu nauczyć, co prowadziło wpółoczytanego lokaja do sfery oficyalistów, najpodlejszéj, jaką mogła żywić nasza żyzna ziemia. Synowie takich półpanków, mówiąc wprawdzie po polsku, służą za piszczyków po moskiewskich kancelariach i najgorliwiéj gnębią narodowy element Rusi.

Autor wspomnianéj podróży powiada: „z Małorosyi Zadnieprzańskiéj urosła najwięcéj idea Rusinizmu“ (chociaż wiadomo, Szewczenko urodził się w Kaniowskim powiecie i pisał swe dumy w narzeczu Czehryno-Perejasławskiem). Naturalnie idea swobody najprędzéj mogła wyróść nad Dnieprem, pomiędzy Humaniem a Połtawą, gdzie szlachta zmoskiewczona grała daleko podlejszą rolę od naszych Bałagułów; nie było tam słychać nawet o Rożyckim, Czajkowskim i Padurze. Lecz tam są żywsze tradycye Kozaczyzny; ba, nawet osady wolnego Kozactwa za Dnieprem jeszcze pozostały, futorzanie czytują tam dumy i pieśni historyczne, które ich niezbałamucą, jako tych mytycznych diaków, o których wiecznie głoszą dzienniki lwowskie. — Znając nieźle obie strony Dniepru, mogę zapewnić, że język używany w utworach Tarasa Szewczenki, zarówno zrozumiały w Chocimskiéj Rai nad Dniestrem, jak w Czerkasach lub w Putywlu. — Bardzo niedawno jeszcze szlachetnie myślący Polacy w Odesie i w Kamieńcu czytali potajemnie utwory ludowego wieszcza i piękne rączki Polek niewachały się przepisywać też same dumy, których rozprzedawanie w kilka lat później ogłoszono za pobudzanie do rzezi. Wartoby być sumiennym i bezstronnym w ocenianiu Tarasa Szewczenki; gdybyśmy go chcieli sądzić tylko z części Hajdamaków, dozwolonéj w druku przez moskiewską cenzurę, złożylibyśmy dowód nadzwyczaj nieoględnego sądu. Zwróćmy uwagę naszą raczéj na wydrukowaną Katerynę, Tarasową nicz, Lacham, Wied'ma, Neofity, Czehyryn, Subbotiw; przejdźmy do tych, co umieszczone w niepoprawnem lipskiem wydaniu Brockhausa, n. p.: Kaukaz, Rozryta Mohyła, Chołodny; jar, Żywym i mertwym, Jak umru, to pochowajte, nareszcie rozważmy przedmowę do Hajdamaków (opuszczoną umyślnie w Petersburskiem wydaniu), oraz poemat p. t. Hus (poświęconą Szafarzykowi), a dowiemy się, dla czego właśnie diakowskim umysłom niedostępne są te utwory, mocą których ukraiński wieszcz zjednał sobie i rusińskiéj sprawie gorliwych obrońców między młodzieżą polską i w ogóle sławiańską. Musiemy ze smutkiem przyznać, iż w zapale ku swej narodowości rozmija się częstokroć z naszemi pojęciami, nieodróżniając dostatecznie nadużycia magnatów, intrygi jezuitów od patryotycznych usiłowań Barskiéj Konfederacyi. — Szewczenko czasami błądził, ale wypowiedział to później Polakom, skazanym wraz z nim na wygnanie do Orenburga. (Bh. Zaleski).

Szanowny autor podróży nie musiał być najlepiéj zainformowany o życiorysie ukraińskiego wieszcza; przecież własnoręczny był w r. 1861 ogłoszony drukiem przez Bohdana Zaleskiego w Gazecie Warszawskiéj. Owóż niedokładnem jest twierdzenie, jakoby p. Florkowski oddawał go na naukę do diaka, potem zaś odwiózł go do Petersburga, jako wolnego już człowieka. — Życiorys przeciwnie dowodzi, że zostawszy sierotą, Szewczenko poszedł na usługę, oraz i naukę, do diaka, potem uciekł do miasteczka, gdzie u drugiego diaka począł już rozcierać farby; następnie wrócił do Karełowki, gdzie został kozaczkiem w przedpokoju młodego pana Engelharda, który go wziął ze sobą do Wilna, gdzie za radą żyda arendarza poczęto go uczyć malarstwa. — Następnie zabrał go znowu jako lokaja do Petersburga, gdzie się długo drożył z wypuszczeniem Tarasa na wolę. Znakomitą jest anekdota o chciwości jeneralskiéj, ale nareszcie wykup został złożony za staraniem sławnego artysty Brülowa. —

Później zaszedł niesłychany prawie na Ukrainie wypadek ze wsią rodzimą Szewczenki Karełówką, że przeszła z rąk moskiewskich w polskie. Marszałek Florkowski podobno niezbyt drogo kazał opłacić sobie wykup rodziny Szewczenkowskiéj. — Musiał takowy wszelako nastąpić niedawno, kiedy poznałem przed 2 laty w Kijowie synowca Tarasowego Iwasia, chłopca 16-letniego. Uczono go wprawdzie czytać i pisać, przygotowując go do zawodu wiejskiego nauczyciela; lecz trudno było zetrzyć ślady służalstwa, nabytego w kredensie łaskawszego trochę dziedzica i pana. Zaiste, cała różnica między młodocianymi laty stryja a synowca polegała zapewne na tem, że tamtego bito pletju, licząc cięgi po moskiewsku; tego zaś pan rządca lub ekonom kazał ćwiczyć rózgami, rachując po polsku i kurząc turecki tytoń ze stambulskiéj fajeczki na pięknym antybkowym cybuchu.

Co się tycze wygnania Tarasa do Orenburskich stepów, zaprowadziły go tam nietylko błahe wierszydła przeciw Mikołajowi wystósowane, lecz wielka popularność, którą był już zyskał pomiędzy ludem po obu stronach Dniepru. Udział Szewczenki w spisku przeciw moskiewskiemu rządowi zdradził dzisiejszy pseudo-rusiński liberał Józefowicz; cały zaś spisek odkryto przy pomocy studenta Petrowa, byłego później dyrektora Riszeliewskiego Liceum w Odesie.

Stanisław Dołęga.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Garbarskiéj Nr. 45. — Czcionkami A. Poplińskiego w Poznaniu.